

Wojtyła – Gombrowicz: dwa oblicza dojrzałości



DR MICHAŁ ŁUCZEWSKI

Centrum Myśli Jana Pawła II

Kwestia dojrzałości – dotycząca nas jako ludzi i nas jako członków polskiej wspólnoty – połączyła ze sobą Polaków tak różnych, jak Karol Wojtyła i Witold Gombrowicz. Każdy z nich traktował i siebie, i polskość poważnie. Każdy z nich poszukiwał jakiejś miary. Każdy z nich myślał o dojrzałości do samego końca, dochodząc do spraw ducha. W głębokim sensie to różnice poglądów między nimi, odnoszące się do tego, czym jest dojrzałość, zdefiniowały kształt polskości w XX wieku.

Osiemnastka minęła już dawno, a zaraz III Rzeczpospolita skończy dwadzieścia osiem lat. Czas więc najwyższy pomyśleć o dojrzałości. Ale nie tak, jak robiliśmy to w przeszłości, opisując z pozycji dojrzałych elit niedojrzałe masy („Polacy nie dojrżeli do demokracji”), lecz po to, żebyśmy niedojrzałość rozpoznali w sobie samych.

Kiedy myślimy o sobie w perspektywie dojrzałości, zaczynamy przykładać do siebie jakąś miarę. To znaczy: zaczynamy traktować siebie poważnie. Nie jest przypadkiem, że właśnie kwestia dojrzałości – dotycząca nas jako ludzi i nas jako członków polskiej wspólnoty – połączyła ze sobą Polaków tak różnych, jak Witold Gombrowicz i Karol Wojtyła. Każdy z nich traktował i siebie, i polskość poważnie. Każdy z nich poszukiwał jakiejś miary. Każdy z nich myślał o dojrzałości do samego końca, dochodząc do spraw ducha. Choć niekiedy przeciwstawia się Gombrowicza kardynałowi Wyszyńskiemu, właściwym partnerem dla niego jest Karol Wojtyła. W głębokim sensie bowiem to różnice poglądów właśnie między nimi, odnoszące się do tego, czym jest dojrzałość, zdefiniowały kształt polskości w XX wieku.

Jeśli miałbym krótko określić podstawową różnicę między Gombrowiczem a Wojtyłą, polegałaby ona na tym: Gombrowicz pozwala nam zrozumieć, że jesteśmy niedojrzali, Wojtyła – pokazuje sposób na wyjście z niedojrzałości.

“ **Gombrowicz pozwala nam
zrozumieć, że jesteśmy niedojrzali,**

Wojtyła – pokazuje sposób na wyjście z niedojrzałości.

Gombrowiczowska świadomość niedojrzałości

Witold Gombrowicz był świadom wszystkich gier, do jakich może nam służyć wezwanie do dojrzałości. Nie tylko był ich świadom – on je namiętnie praktykował. Na tym polegało jego podstawowe zamierzenie pisarskie: wybić się na dojrzałość pośród niedojrzałych współobywateli, więcej – przeciw niedojrzałej idei narodu. „Dążyłem do tego – pisał w *Dzienniku* – żeby Polak mógł z dumą powiedzieć: należę do narodu podrzędnego. Z dumą. Albowiem, jak łącno zauważycie, takie powiedzenie tyleż poniża, co wywyższa. Ono degraduje mnie w moim charakterze członka zbiorowości, ale zarazem osobiście wywyższa mnie ponad zbiorowość: oto nie dałem się oszukać: jestem zdolny osądzić własne umieszczenie w świecie; umiem zdać sobie sprawę z mojej sytuacji; jestem przeto człowiekiem pełnowartościowym”. Krótko mówiąc, im bardziej Gombrowicz podkreślał, że Polacy są niedojrzali, tym bardziej utwierdzał swoją pozycję jako dojrzałego arbitra.

Tę samą strategię Gombrowicz proponował Polakom. Im bardziej jako wspólnota będziemy świadomi własnej niedojrzałości, tym bardziej wydawać się będziemy dojrzałi. Przekucie naszego zapóźnienia, marginalizacji i słabości w atut miało nawet dać nam przewagę nad wiecznie umykającym Zachodem: „Objawiło mi się paradoksalnie, że jedyny sposób, w jaki ja, Polak, mogłem stać się zjawiskiem pełnowartościowym w kulturze, był ten: nie ukrywać mojej niedojrzałości, ale przyznać się do niej: i z tygrysa dotychczas pożerającego mnie uczynić rumaka, którego dosiadłszy mógłbym nawet dalej zajechać niż tamci, zachodni ludzie, określeni. Cóż to znaczyło? Należało po prostu postawić wszystko do góry nogami, poczynszy od samych Polaków. Z Polaka dumnego z siebie, pyszniącego się sobą, zakochanego w sobie, uczynić istotę jak najostrzej świadomą swej niedostateczności i tymczasowości – i tę ostrość widzenia, bezwzględność w nieukrywaniu słabości, uczynić siłą”.

“ **Zdaniem Gombrowicza – im bardziej jako wspólnota będziemy świadomi własnej niedojrzałości, tym bardziej wydawać się będziemy dojrzałi.**

Wielkość Gombrowicza była zarazem jego słabością. Wiedział, że nieustannie gramy i znał wszystkie reguły gier między ludźmi, ale jednej grze potrafił przeciwstawić tylko inną grę. Cały czas grając, nie potrafił wyjść poza samą grę. Nawet tej swojej słabości Gombrowicz był w pełni świadomy: „Biorę się za łby z narodem, tak jak z każdym innym zjawiskiem, które mi

dojrzałość utrudnia lub uniemożliwia; co jednak nie znaczy, abym był dojrzałszy od moich rodaków, ja tylko jestem bardziej świadomy swej niedojrzałości i to pozwala mi uzyskać dystans”. Gombrowicz wiedział więc bardzo dobrze, że świadomość gry nie czyni go kimś bardziej dojrzałym, lecz jedynie kimś bardziej refleksyjnym. W ostatecznym rachunku nie umiał się z niedojrzałości wydobyć, stopniowo się z nią godził, a na samym końcu ogłaszał się kapłanem niedojrzałości: „niedojrzałość zachwyca mnie i urzeka, i wypełnia rozkoszą. Albowiem jestem zarazem dojrzałą Niedojrzałością i niedojrzałą Dojrzałością...”. To dlatego przeciw dojrzałej Ojczyźnie Gombrowicz głosił niedojrzałą syncryzję.

Remedium – bunt czy resentyment?

Wojtyła rozpoczynał tam, gdzie Gombrowicz nas zostawiał. Gombrowicz konfrontował nas z paradoksami, Wojtyła chciał poza te paradoksy wyjść. Łączyło ich obu przeświadczenie, że Polska jest słaba i niedojrzała. A także przekonanie, że moc może się doskonalić w słabości. Podobnie jak Gombrowicz, Wojtyła był bezlitosny wobec ojców, którzy utracili skarb: państwo, naród, a nawet mowę. Poemat *Myśląc Ojczyzna* – wbrew jego szkolnej lekturze – nie jest wcale egzaltowaną pochwałą Polski, jest przede wszystkim żałobą po utraconej wielkości i medytacją nad naszym upadkiem: „Poza mową otwiera się przepaść. Czy jest to niewiadoma słabości, jakiej doświadczyliśmy w ojcach naszych i dziedziczymy w sobie?”. Język polski – ten piękny język, którego Wojtyła był mistrzem – w jego własnej perspektywie stanowił symbol narodowej słabości: „Gdy dokoła mówią językami – pisał – dźwięczy pośród nich jeden: nasz własny. / Zagłębia się w myśli pokoleń i ziemię naszą opływa i staje się dachem domu, w którym jesteśmy razem / – poza nim dźwięczy rzadko – / (w grupach ludzi, którzy mówią wokoło, jakby wyspy opłynięte oceanem powszechnej ludzkiej mowy, nie znajduję własnej fali) – / nie rozszerzyły się zasoby mej ziemi, jeśli nawet odpłynęła mowa, to żeby zanikać powoli / w wysychających łożyskach / – nie podjęły mowy moich ojców języki narodów, tłumacząc «za trudno» lub «zbędna» – / na wielkim zgromadzeniu ludów mówimy nie swoim językiem. / Język własny zamyka nas w sobie: zawiera a nie otwiera”.

Dotąd – poza stylem – niewiele Wojtyłę od Gombrowicza różni. Na poziomie diagnozy pozostają sobie bardzo bliscy. Ich drogi rozchodzą się dopiero tam, gdzie obaj zaczynają szukać remedium. Różnicę między nimi można ująć w Camusowskich kategoriach buntu i urazy albo raczej: resentymentu – to pojęcie Camus zaczerpnął od Maxa Schelera. W buncie nie zgadzamy się ze stanem rzeczy ze względu na wartości, a w resentymentcie nie zgadzamy się na wartości ze względu na stan rzeczy. W pierwszym wypadku miarą są same wartości, w drugim – inni ludzie. W pierwszym – wyznajemy wartości ze względu na nie same, bo tak trzeba, bo taki jest obowiązek, bo narzucają nam taką miarę, w drugim – wyznajemy wartości, bo ktoś inny je wyznaje bądź zwalcza. Nie są one dla nas ważne same przez się, ale dlatego, że inni mają do nich taki, a nie inny stosunek. Według Camusa, droga buntu jest pozytywna, wiedzie do osiągnięcia integralności człowieka i międzyludzkiej solidarności, droga urazy ma z kolei charakter negatywny i prowadzi do dezintegracji: i wspólnoty, i człowieka.

“ **W buncie nie zgadzamy się ze stanem rzeczy ze względu na wartości, a w resentymencie nie zgadzamy się na wartości ze względu na stan rzeczy. W pierwszym wypadku miarą są same wartości, w drugim – inni ludzie.**

Wydaje mi się, że droga buntu była bliższa Wojtyłemu, a droga resentymentu – Gombrowiczowi. Gombrowicz głosił dojrzałość nie dlatego, że dojrzałość jest ważna sama przez się, ale dlatego, że chciał się wybić ponad niedojrzałą masę. Co więcej, on mógł być tak długo dojrzały, jak długo inni pozostawali niedojrzali. Jego twórczość polegała na nieustannej zamianie miejsc. To, co niższe, próbował przekuć na to, co wyższe; syncyzyne i niedojrzałość przedstawić jako prawdziwą Ojczyznę i prawdziwą dojrzałość; czy też mówiąc jego własnymi słowami – uczynić z pożerającego tygrysa rumaka i postawić wszystko do góry nogami. Ale w rumaku cały czas ukryty był pożerający tygrys resentymentu. Nawet gdy niższe przekazujemy w wyższe, to wyższe nadal definiowane jest przez stosunek do niższego, a nie do obiektywnych wartości. Prowadziło to – zgodnie z diagnozą Camusa – do tego, że Gombrowicz nie był w stanie budować trwałych więzów. Jego świat nie jest światem solidarności, ale nieustannej walki między ludźmi. Jeśli solidarność się w nim pojawia, to tylko poprzez wykluczenie i przemoc. Wywyższanie następuje zawsze kosztem innych. Kiedy nawet Gombrowicz dostrzegał więzy łączące go ze współobywatelami, to tylko po to, żeby od razu zaznaczyć wobec nich dystans, żeby pokazać, że on widzi coś, czego oni nie widzą. W konsekwencji nie potrafił przejść z poziomu intelektualnych gier na poziom czynów. A poziom czynu jest najlepszym sprawdzianem naszej wewnętrznej integralności. Jak na romantyka przystało – pozostawał na poziomie słowa.

Wojtyła podążał inną drogą: drogą buntu albo – jak wolał mówić – sprzeciwu. Brało się to również stąd, że bardzo wcześnie zrozumiał istotę resentymentu, to, że resentyment zatruwa nasze człowieczeństwo, że staje się pożerającym nas od wnętrza tygrysem. Resentyment posiada – pisał, powołując się na Maxa Schelera, któremu poświęcił swoją habilitację – „znamienne cechy tej kardynalnej wady, jaką jest lenistwo. Św. Tomasz określa lenistwo (acedia) jako «smutek płynący stąd, że dobro, jest trudne». Sam smutek jeszcze nie fałszuje dobra, a nawet pośrednio podtrzymuje on w duszy uznanie dla jego wartości. Resentyment idzie jednak dalej: nie tylko fałszuje obraz dobra, ale deprecjonuje to, co powinno zasługiwać na uznanie, aby człowiek nie musiał z trudem podciągać siebie do prawdziwego dobra, ale mógł «bezpiecznie» uznawać za dobro to tylko, co jemu odpowiada, co dla niego wygodne”. Dla Wojtyły dobro nigdy nie było za trudne. Nic dziwnego, że podobnie jak Camus odkrywał solidarność i sprzeciw nie jako grę, ale jako postawy autentyczne. To dlatego wcześniej odkrył wartość integralnego człowieczeństwa w swoich pismach – i w całym swoim życiu.

“ **Wojtyła podążał drogą buntu albo – jak wolał mówić – sprzeciwu. Brało się to również stąd, że bardzo wcześnie zrozumiał istotę resentymentu, to, że resentyment zatruwa nasze człowieczeństwo, że staje się pożerającym nas od wnętrza tygrysem.**

Wojtyły poszukiwanie Ojczyzny

W przeciwieństwie do Gombrowicza Wojtyła nie musiał ograniczać się do słowa, ale słowo u niego stawało się ciałem i prowadziło do czynu. W czynie nie mogą zadowalać nas już retoryczne szarże i przewrotne sylogizmy. W czynie musimy realizować samych siebie. Recepta Wojtyły – syna polskiej ziemi – nie polegała więc na zamianie niższego w wyższe, przestawieniu wszystkiego do góry nogami, zastępowaniu Ojczyzny syncyzną, ale na odkryciu tego przede wszystkim, czym powinna być Ojczyzna. Wojtyła poszukiwał Ojczyzny idealnej, która byłaby miarą dla Polski – ojczyzny realnej. Taką miarą była właśnie dojrzałość definiowana w sposób absolutny, a nie relacyjny: „Dojrzałością samostanowienia osądzamy młodość naszą, czasy rozbicia i złoty wiek”. Tak pojęta dojrzałość wcale nie oddziela nas od ojców, nie buduje między nami sztucznego dystansu. Nie wywyższa jednych kosztem innych. Po ojcach dziedziczymy słabości, ale też siłę. Nie odcinając się od nich, ale ucząc się z ich błędów i z ich przykładów możemy stać się na powrót silni: „Tak zwarci wśród siebie jedną mową, istniejemy w głąb własnych korzeni, czekając na owoc dojrzań i przesileń. (...) Promień światła niechaj pada w serca i prześwietla mroki pokoleń. Strumień mocy niech / przenika słabości. / Nie możemy godzić się na słabość. / Słaby jest lud, jeśli godzi się ze swoją klęską, gdy zapomina, że został posłany, by czuwać / aż przyjdzie jego godzina. (...) Godziny przechodzą w psalm nieustających nawróceń”.

“ **Recepta Wojtyły – w przeciwieństwie do Gombrowicza – nie polegała na zamianie niższego w wyższe, przestawieniu wszystkiego do góry nogami, zastępowaniu Ojczyzny**

synczyną, ale na odkryciu tego przede wszystkim, czym powinna być Ojczyzna.

Drogi Wojtyły i Gombrowicza ostatecznie tutaj się rozdzielają. Pomijając patos słów przyszłego papieża, który byłby nie do zaakceptowania dla autora *Dziennika* („gdy człowiek pisze o ojczyźnie, skręca mu się styl”), nie do zaakceptowania byłaby przede wszystkim sugestia, że możliwe jest jakieś nawrócenie. Nawracać można się jedynie ku czemuś, a Gombrowicz nie wiedziałby – ku czemu właściwie. W jego świecie można było się odwracać i przewracać – ale nie nawracać. Pojęcie nawrócenia zakłada bowiem na samym końcu coś, co nas przekracza, coś, co wykracza poza samo społeczeństwo. Dla Wojtyły taką rzeczywistością był Kościół i Bóg, dla Gombrowicza Kościół mógł być tylko międzyludzki, Bóg zaś to wytwór człowieka, boskość „wstaje z samych ludzi, a nie zstępuje z nieba”.

Śmierć sprawdzianem dojrzałości

Gombrowicz był wielkim pisarzem, gdyż wiedział, jakie są koszty odrzucenia Boga. To zgoda na świat takim, jakim jest, na „opętanie człowieka człowiekiem”, a nawet – na opętanie po prostu.

„Ja bardzo boję się diabła – pisał. – Dziwne wyznanie na ustach niedowiarka. Od idei diabła nie jestem w stanie się uwolnić... To błąkanie się straszności w najbardziej bezpośrednim moim pobliżu... Cóż z policji, z praw, ze wszystkich zabezpieczeń i środków ostrożności, jeśli Potwór przechadza się wśród nas swobodnie i nic nas przed nim nie chroni, nic, nic, żadnej zapory między nim a nami. Ręka jego wśród nas swobodna, jak najswobodniejsza! Cóż oddziela błogostan spacerowicza od podziemia rozwrzeszczanego głosem udręczonych – co? Nic zupełnie, przestrzeń tylko, pusta... Ta ziemia, po której stąpamy, tak pokryta jest bólem, brodzimy w nim po kolana – i jest to ból dzisiejszy, wczorajszy, przedwczorajszy, oraz sprzed tysiącleci – albowiem nie trzeba się łudzić, ból nie rozplywa się w czasie i krzyk dziecka sprzed trzydziestu wieków nie jest ani trochę mniej krzykiem od tego, który trzy dni temu się rozlegał. Jest to ból wszystkich pokoleń i wszystkich istnień – nie tylko człowieka. I wreszcie... ależ kto wam powiedział, że śmierć może wam przynieść, wyzwalając z tego świata, jakieś ukojenie? «A jeśli ,tam’ są tylko pająki?» A jeśli tam jest ból, przekraczający nieskończenie wszystko, co możemy sobie wyobrazić? Nie drżysz zanadto przed tą chwilą, gdyż oddajesz się złudnej pewności, że za tą ścianą nie może cię spotkać nic co by było zupełnie nieludzkim – skąd ta pewność? Co cię do niej upoważnia? Czyż w łonie tego, nawet naszego, świata nie zawiera się jakaś zasada piekielna, niedostępna człowiekowi, nie do ogarnięcia ani rozumem ludzkim ani uczuciem? Gdzież więc gwarancja, że tamten świat ma być bardziej ludzki? A może jest on nieludzkością samą, zaprzeczeniem pełnym naszej natury?”

W obliczu śmierci, która jest ostatecznym sprawdzianem naszego życia i naszej dojrzałości, Gombrowicz zaczynał się bać. Wszystkie jego gry ulegały pierwotnemu strachowi przed

diabłem, bólem i pająkami. Wojtyła nie lękał się. W swoim *Rozważaniu o śmierci* dawał wyraz nadziei i pokazywał, czym jest dojrzałość, która przechodzi przez próg śmierci:

„Dojrzałość, zstępowanie do ukrytego rdzenia,
opadają warstwy wyobraźni jakby liście zawarte w pniu,
wyciszają się takie komórki, którymi wrażliwość jeszcze się rozbudza,
a ciało własną swoją pełnią dosięga brzegów jesieni –
dojrzałość, przybliżenie powierzchni do dna,
dojrzałość, przenikanie głębi,
dusza bardziej pojednana z ciałem,
bardziej śmierci przeciwna,
niespokojna o zmartwychwstanie.
Dojrzałość do trudnych spotkań.”

O autorze

Dr Michał Łuczewski jest zastępcą dyrektora Centrum Myśli Jana Pawła II. Doktor socjologii, psycholog, metodolog. Pracuje również jako adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Redaktor naczelny pisma interdyscyplinarnego „Stan Rzeczy” i członek zespołu redakcyjnego „44/Czterdzieści i Cztery”. Stypendysta m.in. Collegium Invisibile, Fundacji im. W. Fulbrighta na Columbia University (2005–2006) i Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Autor kilku książek oraz wielu publikacji w najlepszych polskich pismach socjologicznych, historycznych i antropologicznych.